Należytość pocztową uiszczono gotówką.

Kolekcja Emila Kornasia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna CZYTELNIA w Opolu

Nr. 45 Lwów — Czerwiec 1928 Rok V.

PANTEON POLSKI

POŚWIĘCONY BOHATERSKIM CZYNOM ŻOŁNIERZA POLSKIEGO, KRONICE WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ PAMIĘCI I CZCI POLEGŁYCH OBROŃCÓW OJCZYZNY O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI W LATACH 1914—1921.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

LWÓW-SKRYTKA 98. — Telefon 22-90. — P. K. O. Warszawa 152.930. — Kwart. 2 zł. 50 gr. CENA EGZ. 1 ZŁ.

JAN ROGOWSKI

WSPOMNIENIA

I. W Legjonie Wschodnim.

Służbę wojskową zacząłem w sierpniu 1914 r. Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny zapisałem się do polowych drużyn sokolich i uczęszczałem bardzo pilnie na ćwiczenia. Studjowałem z zapałem przeróżne regulaminy, naukę o broni, terenoznawstwo itd.

Wogóle, wówczas wśród młodzieży akademickiej istniało żywe zainteresowanie sprawą wojska polskiego, bo każdy z nas wierzył, iż rychło już oddziały polskie wyjdą w pole.

Z chwilą wybuchu wojny światowej zorganizował się we Lwowie t. zw. Legjon Wschodni, który dnia 29 sierpnia 1914 r., wymaszerował ze Lwowa. Wyszło nas ze Lwowa około czterech tysięcy ludzi, później jednak siły Legjonu Wschodniego wzrosły znacznie, bo ochotnicy napływali z każdą chwilą. Dowódcą Legjonu Wschodniego był początkowo pułkownik Fijałkowski, a następnie Haller. Pierwszego dnia dotarł oddział nasz, maszerując przez Skniłów i Basiówkę, do Lubienia, gdzie zanocował.

30 sierpnia po długim, męczącym pochodzie doszliśmy do Rudek. Tu dowiadujemy się, że dwa tysiące kozaków znajduje się w pobliżu, i że potyczka jest możliwa. Zaciągnęliśmy placówki i utrzymywaliśmy ostre pogotowie całą noc; rankiem ruszyliśmy dalej i po bardzo uciążliwym marszn doszliśmy do Sambora.

W Samborze zostałem przydzielony razem z kolegą Szmürem-Pepłowskim do oddziału pionierskiego, którego komendantem był inżynier Gnoiński.

Dnia 4 września odbyła się w Chyrowie defilada przed arcyksięciem Salwatorem. Następnie zatrzymaliśmy się w Ustrzykach Dolnych, wreszcie przez Lisko dotarliśmy do Sanoka. Dnia 7 września wyjechaliśmy koleją w otwartych wagonach — do Jasła. W Jaśle zaczęła się zupełnie poważna praca organizacyjna w Legjonie.

Miały być zorganizowane dwa pułki, dowódcą jednego miał być Haller, a drugiego Kozicki. Oddział pionierski zbudował strzelnicę, a na której natychmiast rozpoczęły się ćwiczenia.

Ale już w Jaśle pojawiły się pierwsze oznaki rozłamu, pierwsze oznaki upadku Legjonu Wschodniego.

Przyszły wieści, że Austrja żąda od legjonistów przysięgi Landsturmu — przysięgi, w której niema najmniejszej wzmianki o Polsce; a po drugie, że Rosja nie uznaje Legjonów i bezwzględnie postępuje ze schwytanymi strzelcami.

Z dni pobytu w Jaśle utkwił mi szczególnie w pamięci przegląd Legjonu — we wsi Osobnicy — o ile pamiętam. Pogoda była brzydka, padał deszcz. Stało się na wichrze, deszczu, zimnie coś około 5-ciu godzin, dopóki nie przeprowadzono nowego podziału.

Z Jasła ruszyliśmy koleją do Mszany Dolnej, i tu był kres Legjonu Wschodniego. Pamiętam dokładnie dzień 17 września. Po południu tego dnia odbyła się zbiórka bataljonu drugiego, zarządzona przez dowódcę bataljonu Mokłowskiego, który przedstawił nam warunki, pod którymi Legjony mają iść w bój, warunki takie, że dowódca Legjonu Fijałkowski złożył dowództwo, mówiąc, że on w takich okolicznościach nie może prowadzić młodzieży polskiej do walki.

Warunki: wolno nam mieć w obu legjonach (Wschodni i Zachodni) — 16 bataljonów t. j. około 11.000 ludzi, 2—3 szwadrony jazdy na każdy legjon. Nie wolno zaciągać ludzi w Królestwie Polskiem, jeżeli tam wojska nasze będą się znajdować. Jesteśmy w zupełności zależni od komendy austrjackiej, która mianuje naszych wyższych oficerów itd.

Warunki te pochodzą jeszcze z połowy sierpnia. Dlaczego nie odczytano nam ich prędzej? Widocznie łudzono się, że uda się coś lepszego wytargować.

Mokłowski radził nam, byśmy się nie rozchodzili, warunki są wprawdzie bardzo złe, ale w każdym bądź wypadku jest jakaś siła polska, ktora przyda się bez wątpienia.

18 września wieczorem odbyła się zbiórka 3-ciej kompanji, na której był obecny pułkownik Haller. Był on bardzo rozgniewany tem, że prawie wszyscy chcą wystąpić z legjonu. Zapewniał nas, że rokowania z rządem austrjackim jeszcze nie skończone, że on nie przyjmie takich warunków, jakie przyjął legjon zachodni i że pod takimi warunkami nie poprowadzi nas do boju.

Wszelkie jednak usiłowania, ażeby ratować Legjon Wschodni były daremne, tem bardziej, że nie brakło agitacji bardzo silnej za rozwiązaniem Legjonu.

21 września Legjon się rozlatuje. Według rozporządzenia Skarbka, prezesa sekcji wschodniej Naczelnego Komitetu Narodowego, wszystkim, którzy chcą, należy udzielić pozwolenia na wyjazd do domu lub do wojska austrjackiego. Moc ludzi wyjeżdża. Sprzedają za bezcen konie, wozy, koce, ubrania itd. Legjon Wschodni jest rozwiązany. W ten sposób został rozbity oddział polski, liczący kilka tysięcy młodzieży pełnej zapału i ofiarności.

W tych smutnych dniach — z głębokiem przejęciem czytałem odezwę Rady Narodowej w Ameryce, która w jakiś sposób dostała się do moich rąk.

„Nasi ludzie — głosiła ona — ani nasze pieniądze nie zaważą teraz na szali. Zadaniem naszem teraz jest urabiać opinję ludów — obudzić w nich sumienie, otworzyć oczy na straszną nędzę narodu polskiego i na to, że przewrót dzisiejszy, jakiego świat nie zna, jest właśnie wynikiem tego, że niema państwa polskiego".

KANIÓW — MEKLENBURG

Pozostali oczekiwali z niecierpliwością wieczoru i powrotu naszych z robót, aby się dowiedzieć, co słychać w świecie. Przyszli. Nic nowego nie przynieśli jak tylko to, że te „pierony" niemcy jeszcze się trzymają. Po kilku dniach takich sezonowych robót, zauważyłem, że u kilku robotników zaczyna świtać myśl o ucieczce.

Spostrzeżenia były trafne, ponieważ zaczęły się przygotowania, aby trzech ryzykantów wyprawić do kraju z przypomnieniem, że my tu także w Meklenburgji gnijemy i zdychamy z głodu.

Data ucieczki nie była ustalona, zależnem to było od sprzyjających okoliczności. To też codziennie wieczór oczekiwaliśmy powrotu naszych z robót. Pewnego popołudnia zobaczyliśmy powracających z pracy. Z tak wczesnego powrotu wywnioskowano, że ucieczka się odbyła, czy uciekli, czy też siedzą w pace, dowiedzieliśmy się dopiero wtedy, jak wściekli niemcy spędzili naszych robotników za druty. W momencie wszyscy wiedzieli o każdym szczególe ucieczki.

Jak odbyła się ta ucieczka i przygody w podróży mogę podać dzięki zapiskom, których użyczył mi uczestnik Władysław Kowalski, leg. z 2 pp., obecnie urzędnik Uniwersytetu Jagiellońskiego:

„Z nowym trybem życia w roli jeńca niemieckiego, nie mogliśmy i nie chcieliśmy się pogodzić, to też nas nie opuszczała myśl ucieczki. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że to bardzo ciężko, tem więcej, że trzeba było przebyć pieszo blisko 600 km. kraju, tak zorganizowanego, jak były wówczas Niemcy.

Następnie ciężko było wydostać się za druty obozu, gęsto obsadzonego posterunkami.

Z opowiadań jeńców wiedzieliśmy, że wielu już śmiałków przepłaciło życiem, li tylko za chęć wydostania się za druty kolczaste obozu.

Najważniejszą kwestją było zaprowiantowanie w czasie marszu. Powody wspomniane wstrzymywały nas od natychmiastowej ucieczki. Dopiero w lipcu nadarzyła się sposobność, której nie omieszkaliśmy wyzyskać.

Do partji, która miała iść na roboty, udało się nam wkręcić. Było nas trzech kandydatów na uciekinierów t. j. ja, mój brat Stanisław Kowalski, obecnie kapitan i Bolesław Bielecki, obecnie sierżant w D. O. K. Kraków.

Po kilku dniach roboty przy nasypie kolejowym udało się nam w porze obiadowej zwiać. Na pożegnanie zabraliśmy posterunkom karabiny, aby w razie zauważenia ucieczki nie mogli alarmować strzałami.

Nie widziani nawet przez towarzyszy, czołgając się po chwili przez nasyp, przeszliśmy na stronę południową, ponieważ była tam rzeczka, która płynęła w tą stronę, w którą chcieliśmy uciekać t. j. na południe.

Tutaj też zatopiliśmy karabiny, aby nie przeszkadzały i brnąc po szyję w wodzie, wyciągając z trudem nogi z bagnistego dna rzeki, szliśmy pod jej osłoną do pobliskiego lasu.

Po chwilowym odpoczynku ruszyliśmy biegiem w głąb lasu, gdzie zaszyliśmy się w gęstwinę, aby odpocząć i doczekać nocy.

Marsze nasze odbywały się tylko nocami. Drogowskazami były drzewa, gwiazdy i igła magnetyczna z zepsutego kompasu, którą umieściliśmy na szpilce. Kierując się ku południowemu - wschodowi, szliśmy na przełaj przez pola uprawne, lasy, omijając miasta i wsie, zbaczając z obranej drogi jedynie przy napotkaniu większej rzeki, ponieważ mosty były strzeżone, szukając łodzi lub brodu. Pożywienie składało się przeważnie z młodych ziemniaków. Początkowo piekliśmy ziemniaki w ogniu, ale okazało się to nieekonomicznie, więc gotowaliśmy je w znalezionym garnku za pomocą pary a to następująco: oczyszczone z piasku maleńkie zaczątki ziemniaków włożone do garnka bez wody, przykrywaliśmy liśćmi a na wierzch kładliśmy darnie. Gotowane w ten sposób możliwe były w dziesięciu minutach do jedzenia.

Zapadając przez dzień w zboża, karmiliśmy się zielonem ziarnem, zaspakajając głód.

Przychodziły dnie, w których wycieńczeni z głodu,

nie mieliśmy sił do dalszej drogi, zwijaliśmy się wtedy w wspólny kłębek i tak spaliśmy nawet i w nocy, tracąc dużo tak drogiego dla nas czasu. Były dnie, w których i los był dla nas więcej uprzejmy, jak n. p. raz znaleźliśmy padlinę sarny, która mimo zepsucia, ugotowana bez soli, była przysmakiem. Drugim razem spłoszyliśmy psa, który niósł zaszczutego zająca. Pozostawił nam zajączka, ratując nas w niedoli.

Ja i kol. Bielecki wprawdzie nie używaliśmy papierosów, ale ubolewaliśmy nad nieszczęściem mego brata, nałogowego palacza, tem więcej, że nieraz w poszukiwaniu liści możliwych do palenia, wprowadzał nas w położenie krytyczne. Pewnego razu, idąc wieczorem krajem lasu, zauważyliśmy jakiś ognik poruszający się na drodze. Staszek się szybko zorjentował i raptownie wyskoczył na drogę, wkrótce wrócił, mówiąc „możemy wiać". Trwało to wszystko kilka sekund Uciekając z miejsca wypadku, opowiedział nam przebieg zajścia krótko i węzłowato. „Jechał szwab na rowerze z cygarem w zębach, więc dałem mu w kark i cygaro mam". Po takim oświadczeniu wialiśmy jeszcze prędzej, przeklinając nałóg, mogący nas zgubić.

W drodze unikaliśmy ludzi, lecz pewnego razu zmuszeni głodem, zbliżyliśmy się do pracujących w polu i o dziwo, zostaliśmy serdecznie przyjęci, ale tylko dlatego, ponieważ byli to Polacy z okolic Kalisza. Nakarmili nas, obdarzyli woreczkiem soli, kociołkiem, zapałkami a nawet skaplerzami, przytem okryli nas workami i z błogosławieństwem poczciwych ludzi ruszyliśmy dalej.

Często uciekaliśmy przed psami dozorców dróg lub lasów, aby nas szczekaniem nie zdradziły.

Prawie przez cały czas ucieczki mówiliśmy tylko szeptem i to tak dalece, że później nie można było się przyzwyczaić do głośnego mówienia.

Uciekając w warunkach tak ciężkich, dotarliśmy na razie szczęśliwie do ks. Brandenburgji, co obliczając na mapie własnej roboty, zrobiliśmy potężny kawał drogi. Było to więcej jak połowa naszej drogi.

W drugiej połowie drogi nie bardzo nam się wiodło, a to głównie z powodu zbyt częstego spotykania ciekawych na swej drodze.

Pewnego poranka, śpiąc w lesie, poczułem na sobie zwrok człowieka. Ocknąwszy się, zobaczyłem przerażony żołnierza bez broni, stojącego nad nami, który, przebudziwszy moich kolegów, kazał nam iść za sobą. Ochłonąwszy z przerażenia, porozumieliśmy się szybko zwrokiem i poddając się rozkazowi, ruszyliśmy za nim, ale niedaleko, ponieważ w tymże jeszcze lesie załatwiliśmy się... i w nogi. Innym razem ścigał nas patrol wojskowy i tylko dzięki temu, że ukryliśmy się w bagnie, zanurzając się po szyję, uniknęliśmy niewoli a może i śmierci.

W dalszej podróży, wytropieni przez dobrze zorganizowaną obławę zostaliśmy złapani. Obława ta składała się z mieszkańców pobliskiego miasteczka, którzy dzięki śladom rozkopanego ziemniaczyska, odkryli nasze legowisko. Otoczeni tłumem, uzbrojonym w drągi, widły, dubeltówki i innym sprzętem wojennym, szliśmy, uginając się pod razami nagonki. Poznawałem zgroźnych wejrzeń mego otoczenia, że dostaliśmy się w dobre ręce. Jednak nie ma sytuacji bez wyjścia, więc wpadłem na koncept, który polegał jak zawsze na „bujaniu". Zaczęliśmy przemawiać do niemców, że jesteśmy żołnierzami austrjackimi, którzy zgubieni z transportu jeńców z Rosji, tułamy się, nie wiedząc, gdzie ruszyć. Ale efekt naszych przemówień nie był pocieszający i nie dziwię się temu, ponieważ wyglądaliśmy jak włóczęgi, brudni, zarośnięci, czarni od dymu, ubrani w rubachy rosyjskie, nie mogliśmy wzbudzić zaufania.

Wprowadzono nas w paradzie do miasteczka, gdzie po przesłuchaniu umieszczono nas w areszcie miejskim.

Po dwudniowym pobycie w areszcie, odżywieni i wypoczęci, zwialiśmy w nocy. I znów wolni, ale otoczeni zewsząd nieprzyjaciółmi, darliśmy naprzód. Z mapy, którą mieliśmy zawsze ukrytą w bucie, wywnioskowaliśmy, że jesteśmy na południe od Berlina. Myśl, że jesteśmy niedaleko granicy czeskiej, dodawała nam sił do dalszych trudów. Przeznaczonem nam było jednak wcześniej się tam dostać, a to z następujących powodów. Po tygodniu forsownego marszu, schwytał nas patrol wojskowy z pobliskiego obozu jeńców w Wittenbergu. W obozie, kręcąc przy przesłuchaniu, potrafiliśmy wmówić w niemców, że jesteśmy żołnierzami austrjackimi. To podziałało na nich, przebrali nas w ładne mundury i dobrze się obchodzili z nami. Ale po pewnym czasie, zapewne wsypaliśmy się, ponieważ wtrącili nas do baraków między jeńców i pilnie nas strzegli. Ten nowy zwrot przyjęliśmy z przerażeniem, mając na uwadze listy gończe. Powoli jednak nabieraliśmy otuchy. Dopiero po kilku tygodniach wezwano nas. Podano nam do wiadomości, że będziemy odstawieni do Ołomuńca. Początkowo zdębieliśmy, ale nie tracąc rezonu, zaczęliśmy się nawet stawiać, że nas zaraz nie odstawiono i przez długie przetrzymywanie w obozie „Vaterland" traci obrońców.

Po wydobyciu się z łap pruskich, wydobyliśmy się także i z łapek austrjackich, gdyż stawieni przed komisją poborową, zrobiliśmy ze siebie „obraz nędzy i rozpaczy" i w ten sposób uniknęliśmy zaszczytnego dla nas miana „obrońców Vaterlandu".

Pobyt w domu w Krakowie, wykorzystywaliśmy dla intenzywnego odżywiania się, śpiesząc się przytem, ponieważ wszystkie znaki na ziemi i na niebie wskazywały, że mocarstwa centralne kończą się.

Nie zapomnieliśmy także o kolegach, siedzących w Meklenburgji, wydeptując w komitetach krakowskich pomoc dla nich, niestety bezskutecznie. Z powstaniem Polski ruszyliśmy dalej w tany z nowymi Jej wrogami".

* * *

Ucieczka wspomnianych doprowadziła niemców do wściekłości. Rozpoczęły się śledztwa, na które odpowiadano z naszej strony słowami „nic nie wiem".

Dalsze dąsanie się naszych opiekunów utwierdzało nas w tem przekonaniu, że ucieczka się udała.

Po kilku tygodniach wola władz niemieckich została nam objawiona w ten sposób, że wybrano z pomiędzy nas kilkunastu ludzi, aby utworzyć partję roboczą. W partji tej i ja się znalazłem. Mieli zamiar nas wysłać koleją na stałą robotę, gdzie, na razie nie wiedziano. Załatwienie w ten sposób naszej sprawy było dla nas zagadką. Jednak w następnych dniach rozwiązanie zagadki nastąpiło, a to w ten sposób. Dzięki uprzejmości posterunku niemieckiego udało nam się zdobyć kilka gazet niemieckich, z których dowiedzieliśmy się o losie legjonistów internowanych w obozach austrjackich. Utrzymując nadal miłe dla nas stosunki z tymże posterunkiem, zdobyliśmy i następne gazety, z których ostatecznie dowiedzieliśmy się o wyniku procesu w Marmarosz-Sziget.

Niemcy zatrzymali nas, aby mieć taniego robotnika, jakim był każdy jeniec.

Jako pierwszą partję wysłano nas do robót przy wydobywaniu torfu. Nie będę opisywał, jak ciężka jest podobna praca, zrozumie ten, kto w życiu przechodził coś podobnego, odżywiając się przytem czarną kawą i ziemniakami, maszczonemi podejrzanym tłuszczem. Nie uchowałem się długo na tej robocie. Buntując się często przeciw nieuczciwości pracodawców, zostałem wraz z kilkoma innymi przy najbliższej redukcji odstawiony do obozu, ale w Gustrowie. W obozie tym znajdowało się kilkuset Legjonistów. Tu wiedli nasi również psie życie. Pędzili ich jak i w Parchimie do różnych robót.

Dostałem się znowu z kilku innymi legunami na roboty przy zesypywaniu węgli z wagonów na stacji kolejowej Roztok. Odżywienie t. j. obiad składał się z marchwi pastewnej, którą w t. zw. „baku“ wieźliśmy ze sobą z obozu koleją do pracy. W porze obiadowej odgrzewano na ogniu wyrzucanym z lokomotyw.

Po awanturze, którą urządziłem, markierowałem chorobę i tak udało mi się wślizgnąć do izby chorych, do której przyszedłem zdrów, a po kilku dniach wpadłem w taką gorączkę, że pewny byłem, iż trzeba się żegnać z tym światem i zginąć chwalebną śmiercią wołu roboczego.

Po miesięcznym pobycie w izbie chorych, przepędzono mię do roboty i to dość dobrej, za parobka do gospodarza, siedzącego na 700 morgach pola. Towarzyszem moim w tej nowej szkole był ś. p. Izydor Dyga. Razem ze swym nieodżałowanej pamięci towarzyszem uczyłem się nowej i nieznanej pracy t. j. dobrego gospodarowania na roli. Pobyt nasz na nowej posadzie był krótki, ponieważ po miesiącu zawarty został rozejm. Dla nas nie pozostawało nic innego, jak uciekać do obozu. Pewnej nocy wyrwaliśmy przez okno, ponieważ drzwi zamykał na klucz przezorny gospodarz, dbający o swój inwentarz.

Po blisko dwutygodniowym pobycie w obozie udało się nam wkręcić i to podając się za rosjan do transportu, który miał iść drogą lądową.

W styczniu 1919 r. dobiliśmy nareszcie do Warszawy.

W chwili przekroczenia granicy w pobliżu miejscowości Łapy i zetknięciu się z placówkami dywizji t. zw. Białoruskiej, poznaliśmy słuszność naszej sprawy, za którą dziadowie i my, ich wnuki, cierpieli. Przysięgliśmy wtedy, że cierpieć dalej chcemy, by tylko Ona wolną była. *S. Białoń*, leg. II Bdy.

B. ZIELIŃSKI

Zbrojna odsiecz wychodźtwa polskiego w Ameryce

Rząd rosyjski, jeszcze za czasów caratu poczynił miljardowe zamówienia na broń i amunicję w Stanach Zjednoczonych, co spowodowało konieczność kreowania specjalnego biura i całego sztabu urzędników. Temu zawdzięczamy przybycie do Nowego-Jorku licznego grona Rosjan i Polaków. Carat znał swoich ludzi i wiedział, że gdzie rosyjski czynownik, tam i łapownictwo, wysłał więc do Stanów Zjednoczonych p. Sosnowskiego, polecając mu śledzenie moralności członków rosyjskiej misji. Nie bez pewnej przyjemności stwierdzić muszę opinię, jaką cieszyli się Polacy, członkowie tejże misji. Uchodzili wszyscy za czystych i brzydzących się łapownictwem.

Mimo argusowych oczu p. Sosnowskiego działy się jednakże wprost straszne nadużycia.

Jeszcze przed wybuchem wojny Stanów Zjednoczonych z Niemcami, usiłował pan Sosnowski stworzyć blok prasowy, w skład którego wchodziłyby wszystkie pisma słowiańskie, a więc tem samem polskie i rosyjskie. Prasa polska odmówiła udziału w podobnym zespole, przeczuwając, że chciano w nim urabiać opinię za matuszką Rosją, a równocześnie, wtłaczać sprawę niepodległości Polski w rosyjskie ramy i podtrzymywać twierdzenie caratu, że Polska to wewnętrzna rzecz cara.

Pan Sosnowski dążył do tego, a skoro dążył stawał się bliźniakiem Mokiejewskiego na gruncie amerykańskim.

Niestety p. Sosnowski zdołał wyrobić sobie dobre imię w Washingtonie, miał on łatwy dostęp do rozmaitych departamentów federalnych, a nawet był dobrze widziany przez samego prez. Wilsona.

Pan Sosnowski, osobiście bardzo dystyngowany i elegancki człowiek, umiał swoją siwą brodą wyrobić sobie powagę, a wśród sporego grona Polaków sympatję. Umiał on milczeć jak głaz, gdy tego zaszła przyczyna, ale umiał także niechcąco naumyślnie zdradzić się z jakimś rzekomo tajemniczym zamiarem.

Pamiętam jak dziś pewien dzień w styczniu 1918 r. Byłem w towarzystwie z śp. porucznikiem armji naszej, Aleksandrem Wolskim i w rozmowie dowiedziałem się, że Sosnowski pokazywał mu list

od prezydenta Wilsona, w którym była mowa o ustępie przemówienia prezydenta na temat sprawy Polski. Nie chciałem wierzyć, aby prezydent do tego stopnia otaczał zaufaniem Sosnowskiego, ale Wolski zaręczył mnie słowem honoru, że tak było istotnie.

Widoczną tendencją Sosnowskiego było rzucić zamieszanie w szeregi oficerów rekrutacyjnych, poniżyć znaczenie i wpływy Paderewskiego, a tem samem osłabić jednolitość pracy rekrutacyjnej. Nie udało mu się to z Wolskim i z dziesiątką innych, ale musiało się z kimś udać, bo parę tygodni potem niektórzy oficerowie rekrutacyjni prywatnie i publicznie krytykowali i poniżali Paderewskiego i zamiast pracować nad rekrutacją i słuchać rozkazów idących z Komitetu Narodowego Polskiego, przez Wydział Narodowy i Komisję Wojskową, uprawiali dezorganizacyjną politykę. Exemplum gratia: pan Włodzimierz Wusza (recte Załus).

Mamy i inne przykłady podziemnej roboty p. Sosnowskiego w szeregach rekrutacyjnego korpusu, jak np. planowany zamach stanu, aby w miejsce Paderewskiego stanął Sosnowski, a w miejsce p. Paderewskiej pani „hr." Turczynowicz.

Pogłoski takie, aczkolwiek nieraz fantazją powiększane, działały trująco całkiem tak, jak propaganda bolszewicka.

Równocześnie gdy polip p. Sosnowskiego zapuszczał swoje macki, nawet bardzo wysoko w ciele rekrutacyjnem i wichrzył w sposób arcysprytny, w hotelu Gotham, w biurze, p. Paderewskiego rozwinięto różowy sztandar optymizmu. Ludzie zacni, brzydzący się intrygą nie mogli nawet przypuścić, aby ktoś w tak doniosłej chwili mógł podziemne uprawiać intrygi. Wiedziano, że Sosnowski jest zdeklarowanym wrogiem, wiedziano, że skołatany okręt K. O. N. zawinął do portu byłego orędownika cara jegomości i poszedł pod jego komendę, ale nie wierzono, aby Sosnowski mógł sięgać aż po Washington włącznie.

Optymizm ten spowodował jeszcze i to, że raz wraz wkręcał się w łaski jakiś spryciarz, jakiś na dwóch konikach jeżdżących Kamiński lub inny Horodyski, aby w promieniach słońca ogrzać swoje skołatane ambicyjki, a czasami i kieszenie.

Apetyty te sprawiły, że pomiędzy Paderewskim z jednej strony, a rekrutacją Armji Polskiej z drugiej, zamiast serdecznego związku, wytworzyła się głęboka przepaść. Paderewski zbyt wiele miał na głowie pracy wśród obcych, aby mógł zwracać uwagę na to, co się dzieje wśród Polaków, logicznie obowiązanych do popierania go, a otoczenie jego patrzyło przez różowe okulary.

* * *

Pan Horodyski pochodzi z szlacheckiej rodziny, osiadłej na Podolu Galicyjskiem. Nie był on nigdy, żadnym hrabią. Ponieważ siedmiopałkowe korony hrabiowskie bardzo ożywczo działają na sztywnych Anglików i na naiwnych do rozczulenia Amerykanów, tytuł ten przyrósł do p. Horodyskiego, jak dobrze skrojone... futro.

Pan Horodyski drogami znanemi tylko jemu samemu pozyskał ogromne znaczenie i wpływy w rządzie angielskim, który go uczynił swoim agentem dla sekretnych poruczeń.

I znowu staje na drodze Armji Polskiej opiekun państwa „sprzymierzonego". Podobnie jak w Francji Mokiejewski, w New-Jorku i Washingtonie Sosnowski, to w Londynie i Kanadzie Horodyski. Wszyscy jak najserdeczniej usposobieni dla Polski, ale każdy z nich pragnął obuć Polskę w trzewiki, na różne, byle tylko nie polskie zrobione kopyto...

Skutki zjawienia się pana Horodyskiego na horyzoncie Sokolim nie długo dały na siebie czekać.

C. d. n.

POLSKIE PSEUDONIMY WOJSKOWE

1908 — 1918

(Związek Walki Czynnej — Związek Strzelecki — Polskie Drużyny Strzeleckie — Legjony Polskie — Polska Organizacja Wojskowa)

Zebrała i opracowała M. J. Olexińska.

UZUPEŁNIENIA.

Aldona = Ryglówna Janina Z. S. Lwów, O. W., II Br.

Antinous = Jarosik Franciszek Z. S. Wieliczka 1 pp.

Babcia = Golińska Walerja † patrz spis gł.

Bandurski* = Biestek Aleksander chor. 2 pp.

Baron = Milewicz Kazimierz of. L. P.

Bartosz = Kępiński Adam P. D. S. Tarnów, sierż. I Br.

Bedward = Bagiński.

Beniek = Wądołkowski Ignacy I Br., P. O. W.

Benoni = Majkowski Benedykt por. 5 pp.

Bernard = Galban Bronisław of. L P.

Biały = Cederbaum St. Z. S. Belgja patrz spis gł.

Biegły = Rataj Jan chor. 5 pp.

Bielicki = Łoś Jan Z. W. C., Z. S. Lwów.

Biliński = Ostrowski Antoni patrz spis gł.

Bitwa = Battaglja Andrzej I. Br. P. O W. Lwów, † z ran 1918.

Bizoń = Biron Franciszek II Br.

Bogna = Rokicka Antonina O. Ż., P. O. W. Warszawa.

Boguc = Stańda Józef Z. S. Wieliczka II Br.

Bolek = Szpunar Bolesław Z. S. Wieliczka podof 1 pp., pol. 1914.

Bolesław = Gajowniczek Bolesław Z. S. Lwów, 1 p. art.

Bolesławicz = Fornal Marjan por 1 p. art.
Bolesławska Nelly = Grzędzińska Nelly kurjerka dyplom. L. P.
Bolesławski Pobóg Jan = Grzędziński January Z. W. C., Z. S. Paryż, patrz spis gł.
Borkowski = Konas Stanisław Z. S. Kraków.
Boruta = Janiszewska Zofja Z. S. Belgja
Bożywój = Rybka Józef ppor. 1 pp.
Braciszek = Zbrowski Wacław por. 4 pp.
Bronisław = Świątkowski Rudolf ppor. 1 pp.
Bruno = Konas Stanisław patrz Borkowski.
Brunon = Marusieński Mieczysław Z. S. Warszawa, ppor. I Br., zaginął 1916 (Ps. s.).
Brzeska = Barthel de Weidenthal Jadwiga P. D. S., zastp. komdtki O. Ż., P. O. W. Warszawa.
Brzozowski = Sabok Stanisław chor. 2 p. uł.
Bur = Leski I Br., pol. 1915.
Chłopski Józef = Bagiński H. patrz spis gł.
Chojecki = Jurak Józef P. O. W. Urzędów.
Chojecki = Pnauer Tadeusz P. O. W. Urzędów.
Chrząszczewski = Caspaeri Tadeusz 1 komp. kadr., dwca 1 komp. podchor., P. O. W.
Ciołek = Włostowski P. O. W. Warszawa.
Czarny = Jagodziński Zygm. kmdt. POW. Rypin.
Czarny = Kowalski P. O. W. Warszawa.
Czerski = Kościadłowski P. O. W.
Czyż = Evert Mieczysław Szczęsny P. O. W.
Dąbrowa = Rumiński Zygmunt ppor. tab. L. P.
Dan = Stachlewski Bohdan 1 komp. kadr., wachm. 1 p. uł., kmdt. obozu w Łomży.
Dana = Szyszłowska Marja sanit. I i II. Br
Danko = Łucki Jerzy of L. P
Dębska = Kwiatkowska - Stefanowska Marja, „Armja Polska" Lwów 1909, P. D. S. Warszawa, kmdtka O. Ż., P. O. W.
Dietrich Stanisław = Zwierzyński Stanisław Z. S. Lwów. kpt. 5 pp., pol. 1916.
Długi = Krotke Gustaw of. L. P.
Długosiewicz = Thompson Jerzy ppor. 2 pp.
Dorek = Ceceniowski Izydor Z. S. Lwów, ppor. I Br. † z ran 1915.
Dzielny = Pawlik Józef L. P.
Ella = Kwiatkowska Marja patrz Dębska.
Emil = Brzozowski Emil Oddz. lot. W. P., pol. 1915.
Emrich = Irto Imre II Br.
Eta = Garstka Kazimierz 1 pp
Ewa = Waroczewska Stanisława Z. S. Warszawa, O. Ż., P. O. W. Warszawa, utonęła w czasie odwrotu z pod Kijowa 1920.
Felek = Bałaban Romuald of. L. P.
Felsztyn = Feldstein Tadeusz ppor. 6 pp.
Ferdynand = Stefański Ksawery Eugenjusz Z. W. C., Z. S. Kraków, of. I Br.
Florek = Bagiński Kazimierz Oddz. lot. W. P.
Gabriel = Stankiewicz Marjan Z. S. Wieliczka, ppor I Br., pol 1915
Głowacki = Krasiński Ludwik POW. Urzędów.
Głowiński = Bekricht Zenon 1 komp. kadr., sierż. I Br., pol. 1915.
Grabiec = Dąbrowski Józef of. I Br., † 1926.
Grat = Kulka Michał P. D. S. Tarnów I Br.
Grdzik = Brzózka Konstanty P. O. W. Urzędów.
Grot = Berlinerblau Jan por. 1 pp.
Grot = Machonbaum Leon patrz spis gł.
Grzmot = Lech Bronisław Z. S. Lwów, I Br., † 1920.
Grzybkowski = Surdacki Piotr P. O. W. Urzędów.
Halina = Chełmicka - Jaroszewiczowa Halina oddz. lot. W. P.
Hański = Dusoge P. O. W. Warszawa
Huragan = Bęben Henryk ppor. 1 pp.
Husacki = Holuka Charzewski Emil chor. rach.
Ina = Krysińska - Kościałkowska Anna O. Ż., P. O. W. Warszawa.
Jałówka = Goliwski Walenty P. O. W. Urzędów.
Janusz = Blejarski Władysław of. L. P.
Jasieńczyk = Zbrożek Bogdan of. L. P.
Jaskółka = Pajdowski Antoni P. O. W. Urzędów.
Jastrzębiec* = Matczyński Wiktor dr. por. lek. 2 pp.
Jędrzejowski = Rybak Zygmunt Tadeusz of. L. P.
Jeleń = Jamruk P. D. S. Tarnów, of 4 pp., pol. 1915.
Jerzy = Łucki Jerzy patrz Danko.
Jur = Gorzechowski J., Z. S. Lwów, patrz spis gł.
Justyn = Hellman Włodzimierz ppor. komp. techn. L. P.
Kalada = Lewicki Aleksander Z. S. Lwów.
Kamera = Pawłowski Ferdynand chor. san. 1 pp. L. P.
Karabela Jan = Sokół Jan P. D. S. Tarnów, I Br., pol. 1914.
Karp = Dziadosz Władysław ppor. 5 pp.
Karpiński = Wojtuszkiewicz Franciszek P. O. W. Urzędów.
Kasper = Bogusławski Stanisław ppor. 1 pp.
Kawacki = Kuśmidewski Piotr P. O. W. Urzędów.
Kawka = Kierkowski Kazimierz sierż. 5 i 6 pp.
Kinto = Możdżeń Kazimierz „Nieprzejednani", por. sap. L. P.
Kirkor = Kierkowski Kazimierz, patrz Kawka.
Kłos = Łukasiewicz Wincenty P. O. W. Urzędów.
Kniaź = Szelepin Leszek Z. S. Lwów, ppor. I Br. (Ps. s.).
Komin = Stec Wincenty P. O. W. Urzędów.
Kończak = Czuszkiewicz Józef ppor. 1 pp.
Konrad = Kron Gustaw kmdt. Z. S. Sambor, † 1914.
Konrad = Rodkiewicz Konrad sierż. 1 pp.
Konstanty = Kulwieć Andrzej Z. S. Warszawa.
Kontrymowicz = Ogiński Jan of. L. P.
Korab = Gliniecki Roman por. 1. p. art.

Kos = Sandel Jan L. P.

Leszek = Szelepin Leszek patrz Kniaź (Ps. L.).

Liliput = Borowiec Franciszek Z. S. Wieliczka 1 pp.

Lipczyński Zenon = Lipiński Zenon Z. S.

Liść = Radzeń Feliks P. O. W. Urzędów.

Łopot = Łopatka Z. S.

Madromeda Jan = Gozdalski Mieczysław P. O. W. Urzędów.

Malina Stefan = Skurski Piotr P. O. W. Urzędów.

Marek = Jędrzejewicz Jan L. P., P. O. W.

Marjusz = Pallan Zygmunt kmdt Z. S. Wieliczka.

Medyński = Finkelstein Władysław ppor. Lek. 4 pp.

Napoleon = Śmietana P. D. S. Tarnów I Br.

Ordon = Fiszer Zygmunt Z. S. Lwów 1 p. art.

Orlik = Bijasiewicz Robert P. O. W. Urzędów.

Oset = Drzymała Józef P. O. W Urzędów.

Peres = Paulo Kazimierz Z. S. Sambor.

Pol Gustaw = Schimmel Adolf L. P.

Róg = Harasymowicz Stanisłsw Z. S., L. P.

Rudek* = Brandys Rudolf kpt. 2 pp., pol. 1918.

Ryngraf = Fierhaus Józef P. D. S. Tarnów, I Br., pol. 1917.

Sęp = Błotnicki Adam Z. S. Sambor, podof. I Br.

Sęp = Kościuk Włodzimierz Z. S. Sambor, podof. I Br.

Sewer = Kirtyklis Stefan of. L. P., P. O. W.

Stach = Gulewski Stanisław 1 pp.

Średniawa = Winiarski Władysław L. P.

Sybir = Wąsowicz Dunin Marjan Z. W. C., Z. S. Lwów.

Szczęsny = Gadomski Feliks.

Tadzik = Obuchowicz Tadeusz Z. S. Wieliczka 1 pp.

Waleczny = Starościak Jan podof. V Dyw. s.

Warta = Pallester Stanisław L. P.

Wymilga Jan = Surdacki Franciszek P. O. W. Urzędów.

Zadora Stanisław = Pusłowski Stanisław Z. S.

Przy zamknięciu spisu powyższego poczuwam się do obowiązku złożyć podziękowanie p. Romanowi Horoszkiewiczowi i p. Ppułk. Dr. Bronisławowi Pawłowskiemu dyr. Arch. wojsk., którzy w czasie druku użyczyli mi cennych materjałów.

Wkońcu zaznaczyć należy, że przy opracowaniu „Pseudonimów“ zdarzały się nierzadko trudności spowodowane, jużto niemożnością dokładnego ustalenia przynależności organizacyjnej, jużto przynależności do jednej z formacji wojskowych, bądźto spowodowane nasuwającemi się wątpliwościami przy rozstrzyganiu, które z dwóch podanych nazwisk jest pseudonimem. Mogły więc zajść usterki w tej pierwszej próbie zestawiania polskich pseudonimów wojskowych.

Objaśnienia do podanych w spisie organizacji wojskowych.

„Nieprzejednani“ tajna organizacja, powstała w listopadzie r. 1904 podczas wojny rosyjsko-japońskiej o charakterze i celach późniejszego Związku Walki Czynnej. Działała na terenie byłej Galicji a członkowie jej w trzy lata później zasilili szeregi Z. W. C.

„Armja Polska“, druga obok Związku Walki Czynnej, organizacja wojskowa, powołana do życia na terenie byłej Galicji w r. 1909. Początkowo tajna, centralizowała prace poszczególnych członków gniazd sokolich i młodzieży „zarżewiackiej“. Z Armji Polskiej powstały później Polskie Drużyny Strzeleckie.

„Wolność“, tajna organizacja wojskowa, skupiająca oficerów Polaków armji austrjackiej, pozostawała w ścisłej łączności z P. O. W. Członkowie jej wzięli wybitny udział w obronie Lwowa.

Sprostowania.

Zamiast: Bystram = Stryjeński Paweł etc. czytaj Bystram = Stryjeński Władysław dr. por. lek.

Zamiast: Swarzeński = Starzewski Jan etc. czytaj: Starzewski = Swarzeński Jan.

TATOMIR JAN

WSPOMNIENIA LEGJONISTY CZWARTAKA

Z nastaniem wiosny i lata, okopowe życie nasze pod Optową zmieniło się nie do poznania. Zniknął już ten spokój, który do niedawna panował na rozległym całym froncie. Umiłowane nasze rozrywki, musieliśmy zastąpić wzmożonem czuwaniem w okopach i gotowością w każdej chwili odparcia rosyjskich ataków, których próby wcale nas nie przerażały. Byliśmy tak pewni siebie, że każdy z nas o pomyślnym rezultacie nie mógł ani wątpić, ani też niczego innego przypuszczać, nad zwycięstwo. Czyż nie miłem wspomnieniem jest ten dźwięk i echo melodji naszej orkiestry 4 p. p. Leg. „Jeszcze Polska nie zginęła“, którą szum wiatru po skończonym i nieudałym ataku Moskali, roznosił z placówki III. baonu daleko poprzez lasy i błotniste przestrzenie.

Pewnego razu, atak rosyjskiej piechoty rozpoczął się jak zwykle wieczorem. Placówka pod gradem silnego ostrzeliwania i częściowego okrążenia, wycofywała się do pozycyjnych okopów pierwszej linji. Ze wszech stron zamigotały światła reflektorów i w tym momencie ożył cały odcinek. Zawzięcie strzelały wszystkie ręczne karabiny, przygłuszał ich doniosły klekot karabinów maszynowych. Od czasu do czasu przeraźliwy huk miny zatrząsł całem przedpolem. Wkrótce odezwała się 4-ta baterja porucznika Durskiego. Teraz już naprawdę nieprzyjaciel był godny współczucia. Tu i ówdzie wystrzeliła jeszcze świetlna rakieta. Przed okopami rozrywały się rzucane z okopów ręczne granaty. A co też działo się koło samej placówki już przez nas opuszczonej, trudno byłoby

nawet opisać. Tam to za zasłonami wysokich wałów i czołowej reduty, ukrywały się grupki Moskali. Wszystkie więc lufy karabinów, dział, granatów V. B. i miotaczy min, koncentrowały w tym kierunku huraganowy swój ogień.

Pomiędzy komp. 11-tą a 12-tą znajdowała się niewielka reduta, z poza której wylatywały ciężkie i groźne miny. Na czworokątnem wzniesieniu stał miotacz min, kierowany przez ówczesnego plutonowego Staszka Janię. On to mając do pomocy dobrze wyćwiczoną obsługę, wyrzucał z paszczy strasznego potwora, ogólnie zwane „kuferki".

Wkrótce Moskale, zaniechawszy bezowocne ataki, wycofywali się na swoje dawne stanowiska, a nasze patrole ścigały ich krótkiemi salwami ręcznych karabinów.

Teraz było całkiem inaczej. Rosjanie grupowali olbrzymie swoje posiłki, przygotowane do letniej ofenzywy generała Brusiłowa. Całymi dniami nękali nas różnemi kalibrami pocisków armatnich. Ledwie świt nastawał, z za lasu, w tyle za nieprzyjacielskiemi pozycjami, wolno wzbijał się ku górze olbrzymi balon na uwięzi. Dokoła przelatywały liczne aeroplany. Gdzieniegdzie wprawdzie i nasze można było rozpoznać, lecz te w większej części musiały ustępować, gdyż nie tylko powietrzne wrogie ptaki ze wszystkich stron zagrażały niebezpieczeństwem, ale i przyziemne wrogie armatki nieodstępnie im towarzyszyły, zastępując drogę powrotu i uniemożliwiając obserwację. Na całym froncie zapanowała powaga i groza sytuacji. Strzelanina prawie, że nie ustawała.

Pewnego dnia zjawił się w okopach ówczesny d-ca pułku pułkownik Roja. „Chłopcy, trzymać się!" zawołał, przechodząc rowem wzdłuż okopów: „będzie nam dzisiaj jeszcze bardzo ciepło". I tak też było. Po całodziennem artyleryjskiem ostrzeliwaniu pozycji Moskale ruszyli do ataku. Lecz atak nawet i ten nie był dla nas straszny. Mimo zmęczenia i kilku zupełnie nieprzespanych nocy, strzelaliśmy jak oddział świeżo zmieniony, jak legjoniści, dla których ponad niepokonaną siłą ducha nie było wyczerpania, ani upadku fizycznego. I nic Moskale nie zdziałali. Nic też dziwnego, że zaniechali już swoje dotychczasowe próby i czekali lepszych rezultatów na innych miejscach naszego frontu. Artylerja ostrzeliwała nas za to jeszcze bardziej.

W lipcu 1916 roku dnie były piękne, pogodne. Słońce formalnie parzyło. Lecz pomimo tej przecudnej pogody, w sercach naszych panował jakiś półmrok, smutek. Mimowoli coś pociągało niejednego, by oglądnął się z okopów poza siebie, by przez chwilę chociaż zatrzymał wzrok swój na rozległej przestrzeni, po której tak długo stąpał; na tym piasku, którego tak wiele nanosił się w workach lub taczkach na wypełnienie wnętrza nadziemnych okopów; na tym lesie, z którego wycinał drzewa i znosił jako budulec do tych samych okopów; na tylu wzniesieniach, które długo i niezmordowanie kaleczył łopatą i toporem, aby stworzyć ochronne wnęki i bezpieczne schrony.

W kompanji naszej nastąpiła częściowa już zmiana. Dotychczasowy ukochany nasz dowódca kapitan Nowakowski został przeniesiony na stanowisko dowódcy baonu, obok rozwiniętego na sąsiednich pozycjach prawego skrzydła 6 p. p. Leg. Zastępstwo objął ówczesny podporucznik i dowódca plutonu Stefan Jażdżyński. Z pewnością nie widział tych oczu całej jedenastki, które szukały go i pożądały, chociażby tylko widoku jego osoby. Nie było już kochanego dowódcy, nie było przyjaciela, który tak głęboko wrósł w nasze serca. Krótki i nieubłagany rozkaz oderwał go od pnia żelaznej jedenastki.

Odgłosy strzałów armatnich zwolna zaczęły przycichać. Nastał jak dawniej spokój. Lecz ten spokój był zupełnie inny od tego, który tak wesoło harmonizował z wnętrzem naszego ducha. Zbieraliśmy kolekcje rozmaitych gadów, które w przeróżnych odmianach żmij, jaszczurek i żółwi wypełniały rozległe przestrzenie. Największym i zaciętym amatorem tych zbiorów był doktór naszego baonu por. Kucharski. Graliśmy w piłkę nożną. Wydawaliśmy pułkową humorystyczną i rymowaną gazetkę „Obijaka", której autorem był jeden z kolegów, Ludwik Markowski. Urządzaliśmy różne obchody, rocznice, premjowe strzelanie do tarcz, ustawionych w kierunku nieprzyjacielskich okopów. Podziwialiśmy przecudny wschód i zachód słońca. Przysłuchiwaliśmy się melodji słowików i szczebiotom licznego ptactwa A teraz był spokój, chyba tylko powierzchowny, spowodowany chwilowem zaprzestaniem strzelań na froncie.. Tu i ówdzie zato dochodziły szepty, jakoby Moskale przerwali front na odcinku czeskiego pułku, który i bez walki w czasie światowej wojny porzucał szeregi armji austrjackiej, przechodząc na stronę przeciwną.

Nadszedł dzień 6. lipca. Od samego świtu byliśmy ustrojeni w kompletny rynsztunek. Dokoła ustały już wszelkie bombardowania. Front istotnie był przerwany na prawem skrzydle. Sąsiedni 6 p. p. Legj. wycofał się, również i nasz pułk, za wyjątkiem oddziałów osłonowych. Z naszego baonu pozostały na pozycji kompanje 11-ta i 12-ta. Tu i ówdzie przesuwały się jeszcze grupki, lub tylko sylwetki pojedynczych ludzi, nadążających szybkiemi krokami w stronę „Hinterlandu", za poprzednio wycofanemi już oddziałami. Tam jakiś ordynans dźwigał jeszcze rzeczy swego oficera, tam znowu w szybkim tempie wynosili spóźniony karabin maszynowy, a na reducie nasz bliski sąsiad Staszek Jania trapił się i opatrywał swego smoka, miotacza min, by na wszelki wypadek być zawsze gotowym.

Przed okopami Rosjanie już się nie pokazywali.

Natomiast dochodziły coraz to pewniejsze spostrzeżenia, że nieprzyjaciel przekracza pozycję i całemi masami zachodzi na nasze tyły. Dlaczegoż więc jeszcze w tych okopach siedzimy? Pytanie to było niemal na ustach nas wszystkich. Zakłopotanie, ruch, bieganina i wyczekiwanie rozkazów przejmowały nas jakimś uczuciem tak dziwnym, jakiego nigdy przedtem nie zaznaliśmy jeszcze.

W pewnej chwili ze stanowiska naszego dowództwa pułku odezwały się rosyjskie karabiny maszynowe, strzelające w stronę okopów. Świst kul, przelatujących ponad powierzchnią rowu okopowego i to jeszcze od strony naszych tyłów, stał się bezwiednie hasłem do odwrotu. W tej sytuacji wykorzystano bardzo głęboki i piaszczysty rów przekopowy, łączący pozycję z dowództwem pułku, pod osłoną którego poczęliśmy się wycofywać. Ze względów taktycznych manewr ten nie był zbyt ciekawy i dlatego też nie będę się o nim rozpisywał. Podjąłem się zresztą w ogólnych zarysach przedstawić tylko obrazek życia żołnierskiego kompanji 11 tej 4 pp. Leg. pod dowództwem kapitana Nowakowskiego w latach 1915/16 światowej wojny, bez jakiegokolwiek rozwijania, w ścisłem tego słowa znaczeniu wiedzy fachowej i krytycznych poglądów. Z całego natomiast epizodu, podam to jedno tylko, czego nie dałoby się ominąć, t. j. że w końcowym rezultacie, jakgdyby przykryci czapką moskiewskiego sołdata, dostaliśmy się wszyscy do niewoli. Wtedy to wraz z wielu innymi poległ chorąży Miś z kompanji 12-tej.

Rozwydrzona i bezładna tłuszcza rosyjskiego sołdactwa, całe szczęście, że tylko piechoty, rzuciła się na nas jak dzikie, zgłodniałe zwierzęta. Mścili się i rabowali bez miłosierdzia. Jeden z nich chciał rzucić jeszcze w stłoczoną grupkę jeńców olbrzymię ręczną bombę. I z pewnością byłby to uczynił, gdyby go nie był energicznie powstrzymał od tego zamiaru jakiś starszy podoficer, wołając: „Taż to wże nasi wojennoplenni". Pozostałem bez czapki. Odebrali mi wszystko. Całe kolekcje fotografij, własnoręczne zdejmowane na froncie i ostatniej pozycji. Wszystkie zachowywane przy sobie pamiątki, między nimi nieodżałowany pamiętnik, tak pilnie przez cały czas frontu z dnia na dzień zapisywany. Pozatem pieniądze i ten stalowy zegareczek, który wyrwali mi omal, że nie z całą ręką. Mimowoli garnęliśmy się obok naszych oficerów: porucznika Uhnruga, chorążego Barycza i Bochniewicza, którzy wraz z całą kompanją dostali się również do niewoli. Z nich to, na największe urągowisko był narażony porucznik Uhnrug. Całą drogę wprost w nieludzki sposób szydzili Moskale z tego oficera, idącego z odkrytą łysiną, używając najrozmaitszych zwrotów rosyjskich, znieważających biednego staruszka. Porucznik Uhnrug z politowaniem spoglądał w dzikie twarze rosyjskich żołdaków.

O przebiegu dalszych wypadków i samej niewoli opiszę oddzielnie. Tymczasem zamieszczam pamiątkową fotografję z niewoli rosyiskiej 1918 roku (Aleksandrja, gubernja Chersońska), przedstawiającą trzech legjonistów byłej 11-tej kompanji od strony lewej ku

prawej: kapral Franciszek Balzar, Jan Tatomir i starszy szeregowiec Marjan Naorniakowski. Zdjęcie to utrwali zarazem strój, w jakim chodziliśmy podczas pobytu w Rosji i w przyszłości przypominać będzie, jak młodocianie jeszcze wyglądali pierwsi polscy legjoniści po przebyciu już trzech lat światowej wojny 1914—18 roku.

W ten sposób zakończyła się cała idylla kampanji naszej 1915/16 roku.

Kapitan Nowakowski, jak dowiedzieliśmy się później z Dziennika Kijowskiego, został w ataku na tej samej pozycji pod Optową ciężko raniony i jako rosyjski jeniec wkrótce zmarł, prawdopodobnie w szpitalu w Kijowie.

W tym krótkim i ogólnem streszczeniu swoich wspomnień, specjalnie podkreśliłem osobę ś. p. kapitana Nowakowskiego, by ze szczerej wdzięczności i prawdziwego przywiązania, dać wyraz serdecznego uczucia, jakiem darzyliśmy zawsze wspomnianego dowódcę.

GOLCZEWSKI WŁADYSŁAW

NASZA WOJACZKA

z roku 1919—1920.

Podczas wypadu ppor. Sławicki był wysłany przez Szymańskiego z jednym plutonem piechoty i 1 karabinem maszynowym na osłonięcie lewego skrzydła grupy operacyjnej. Sławicki wrócił wcześniej, nim się akcja skończyła.

Po jego powrocie, Szymański telefonicznie wydał mi rozkaz, abym z plutonem, jaknajszybszym marszem, usuwając patrole bolszwickie, dotarł do wsi Antonowo, ubezpieczył ją z trzech stron i nawiązał łącz-

ność z grupą wypadową kpt. Mińkowskiego, która prawdopodobnie będzie się znajdować we wsi Głyboczce.

Z czterema sekcjami, marszem ubezpieczonym posuwam się w nakazanym kierunku. Pod wsią Olszanicą natknąłem się na patrol bolszewicki, składający się z dwunastu ludzi. Otoczyliśmy go i bez oddania jednego strzału zabraliśmy do niewoli.

Maszerując dalej, pod wsią Kisiele złapaliśmy jednego jeźdźca, drugi uciekł. Wysłałem ich do kompanji pod eskortą kilku strzelców, załączając jednocześnie odpowiedni meldunek do Szymańskiego.

We wsi Antonowo zauważyłem niezwykły ruch. Kiedy znaleźliśmy się o jakieś sześćset metrów od wsi, zauważyłem chałaty bolszewickie. Uszykowałem pluton do natarcia.

Z obu stron nie padł jeszcze ani jeden strzał. Widzę jak bolszewicy rozsypują się w linję tyraljerską i jak jeden, dość liczny oddział, chyłkiem skradał się do lasu, z zamiarem prawdopodobnie odcięcia mi tyłów. Moskali jest daleko więcej. Pcham Fabjańskiego z sekcją na skrzydło, by bronił przejścia na tyły tym, co tam chyłkiem lecą. Posuwam się naprzód. W tem z tyłu na spienonym koniu pędzi starszy szeregowiec Długołęcki, z rozkazem pisemnym od Szymańskiego, abym się natychmiast wycofał, gdyż wypad skończony i grupa wypadowa kpt. Mińkowskiego wróciła.

Wydaję rozkaz cofania się. Bolszewicy odkrywają szybki ogień. Jestem od naszej pozycji o osiem kilometrów, jeden bok zagrożony, bom szedł wzdłuż pozycji bolszewickiej, w dodatku przed nami przeciwnik w odległości sześciuset metrów. Za nami lasek, który nas osłoni.

Cofamy się. Fabjański z sekcją broni zagrożonego boku. Jeszcze parę skoków i jesteśmy w lesie. Daję możność wycofania się Fabjańskiemu. Teraz szybkim, ubezpieczonym ze wszystkich stron marszem cofamy się w kierunku Turowli.

Nie wiem z jakiej przyczyny bolszewicy wstrzymali pościg. Wtedy szarpnęliby mi trochę pluton. Dzięki okoliczności, bez strat, prócz kilku dziur w mundurach, wycofaliśmy się do Turowli. Jedynie nowoprzybyli rekruci, przyjmując pierwszy chrzest ogniowy mieli mocno wystraszone miny.

Po tym wypadzie zdwoiliśmy czujność. W tym czasie zaszedł niemiły, a hańbiący dla kompanji wypadek. Plutonowy Koncewicz, z jedną młodą wdówką ze wsi Gorodziszcza, przeszedł do bolszewików. — Zmartwił nas wszystkich mocno, bo nie zdążyliśmy jeszcze zrehabilitować się po „zawieszeniu broni", a tu dezercja.

Po wojnie, kiedy wrócił do Polski i został oddany pod sąd, tłumaczył się różnie. Byłem w Warszawie na rozprawie sądowej jako świadek. Dostał dziesięć lat ciężkiego więzienia. Wyrok zapadł w jesieni 1922 roku.

W związku z tym, nastąpiło przegrupowanie kompanji na pozycji. Gabrysiak z plutonem został zciągnięty do Turowli, Łukaszewski z częścią swego plutonu obsadza Gorodziszcze i zostaje dcą tej reduty. Ja z półplutonem zajmuję przyczółek mostowy na drodze Turowla — Kisiele, mając do dyspozycji jeden karabin maszynowy. W prawo odemnie o metrów 700, był drugi most, przy wodnym młynie. W tem miejscu, tylko z prawej strony Turowlanki, mieściła się reduta Nr. 4. Wspaniale dookoła odrutowana, mająca do dyspozycji dwa karabiny maszynowe, broniona przez resztę mego plutonu. Komendantem tej reduty został ppor. Sławicki. Przestrzeń między moją redutą, a Sławickiego, była broniona ogniem karabinów maszynowych. Orłowski został przydzielony do plutonu Gabrysiaka.

Dnia 13. marca, o godz. 20. otrzymuję telefonicznie od Szymańskiego ostatnią decydującą wiadomość, że w nocy lub nad ranem bolszewicy urządzą natarcie. „Potroić czujność" i przygotować się do ostatecznej obrony. Pluton Gabrysiaka na czele pchr. Orłowskiego wyrusza w tym czasie na przedpole. O godz. 24 silniejsze od niego i gęste patrole bolszewickie spędziły go.

Ja w reducie „Łomży" czułem się na razie jak u siebie w domu. Rowy strzeleckie i łącznikowe wspaniałe. W amunicję byliśmy zaopatrzeni też dobrze. Punkt, gdzie były nasze okopy, był dominujący, skąd cały przeciwległy brzeg rzeki Turowlanki mieliśmy jak na stole. Wprost na most wycelowany ciężki karabin „Hotschkiss". Stanowiska strzeleckie dobrze zamaskowane.

Ludzi do dyspozycji miałem z mojego plutonu 18-tu i sześciu z obsługi karabinu maszynowego. Rzeka nas trochę broniła, jako przeszkoda naturalna. Natomiast most na niej oddziaływał markotnie. Postanowiłem pozbyć się go. Dzwonię do ppor. Szymańskiego, aby mi przysłał saperów, by można było wysadzić most.

Przysłano mi czterech saperów. Ci mieli rozkaz, aby przy pomocy moich ludzi most rozebrać.

Most z wszystkimi ludźmi, prócz tych, którzy byli na czujkach, rozbieraliśmy do godz. 4-tej dnia 14-go maja. Rozebraliśmy zaledwie połowę. W dalszej pracy przeszkodziły nam bojowe patrole bolszewickie.

Zaniechaliśmy pracy i zajęliśmy stanowiska. Saperów zatrzymałem przy sobie. Wszyscyśmy całonocną pracą byli niemożliwie zmachani, lecz rozpoczynające się dookoła nas utarczki, dodawały nam werwy. W prawo od nas, gdzie zajmował pozycję baon trzeci, bolszewicy grzmocili silnym ogniem artyleryjskim.

Godz. 6-ta rano. W prawo i w lewo naszej reduty rozpoczęła się nocna strzelanina. Nasza reduta była jeszcze spokojna, pomimo, że się znajdowała na głównym trakcie. Żołnierze z groźnie utkwionym wzrokiem w las, wyczekiwali przeciwnika.

C. d. n.

MICHAŁ LITYŃSKI

Z DNI GROZY I WALKI O WOLNOŚĆ

1914 — 1915

Zanim opiszę dalsze dzieje naszego tułactwa wojennego, muszę choć w krótkim zarysie skreślić dzieje oddziału Piłsudskiego. Jest to nietylko potrzebą mego serca, lecz koniecznem uzupełnieniem mego opowiadania dla zrozumienia ogólnego nastroju, jaki panował u gorętszej patrjotycznej części społeczeństwa polskiego w kraju i na uchodźtwie.

Codziennym niemal tematem rozmów naszych prywatnych i publicznych były wypadki, działanie, pochody, odwroty, walki i odpoczynki tego oddziału, nazwiska bohaterskich dowódców od ukochanego Komendanta począwszy, były wszystkim znane, czyny ich gorąco omawiane a każda wieść z obozu legjonowego, przywieziona przez kurjera lub przygodnego gościa na froncie, rozchodziła się lotem błyskawicy wśród Polaków, chociaż z reguły dzienniki polskie i niemieckie z wyższych względów wojskowych czy też politycznych o tem milczały. Czasem tylko komunikaty bojowe i to częściej niemieckie jak austrjackie donosiły w krótkiej wzmiance o dziarskiem sprawieniu się polskich legjonistów w jakiejś potyczce lub bitwie.

W okresie nieco późniejszym, tak samo walki drugiej Brygady Legjonów w Karpatach i na Węgrzech były przedmiotem powszechnego zainteresowania, trosk, niepokojów i opieki, na jaką tylko zdobyć się mogły serca Polaków galicyjskich, samych rozbitych i rozpószonych wówczas po rozmaitych prowincjach Austrji a skupionych głównie we Wiedniu, lub w tym małym zakątku Krakowskim i na Śląsku, wolnych jeszcze od najazdu moskiewskiego. Ale we wrześniu, październiku, listopadzie i grudniu 1914 roku, dochodziły przedewszystkiem wieści z Królestwa i z Galicji od walczących tam nieustannie z przeważającemi siłami wroga kilku bataljonów polskich żołnierzy pieszych wraz z zaimprowizowanym oddziałem jazdy i małą baterją muzealnych armatek, pod naczelnym dowództwem Józefa Piłsudskiego, którego nazwisko i postać, jako pierwszego, nieustraszonego twórcy i kierownika polskiej siły zbrojnej, urastała olbrzymio w oczach i umysłach współczesnych a z każdym jego nowym czynem wojennym przyoblekała się promienną aureolą niezwyciężonego wodza narodu. Dziś nie ulega wątpliwości, że odważny czyn Piłsudskiego z 6 sierpnia 1914 był zarazem pierwszem głośnem wysunięciem sprawy polskiej na arenę polityczną wojny światowej i od powodzenia tego czynu zależało w wielkiej mierze dalsze ukształtowanie się tej sprawy.

Piłsudski rozumiał to dobrze, że dając żołnierzowi polskiemu broń do ręki, uczył go nietylko walczyć i zwyciężać, lecz umiał go także chronić w potrzebie i nie szczędząc ofiary zdrowia i życia tam, gdzie tego wymagała potrzeba wojny, obowiązek żołnierski i honor narodu, jednak od tysiąckrotnie grożącej zagłady umiał swoją brygadę ocalić i mimo strat koniecznych szczęśliwie ją przeprowadził przez różne fazy wojny aż do swego ustąpienia i niewoli niemieckiej. Całe korpusy i armje rozpraszały się i ginęły w tej wielkiej zawierusze wojennej bez śladu więc zupełnie rozbicie i rozprószenie małej garstki ludzi, jaką stanowił w największym swoim rozwoju 5-ciotysięczny oddział Piłsudskiego, mogło być dziełem jednego nieoględnego ataku lub zasadzki; strata taka nie mogłaby nawet wcale zaważyć na losach wojny, ale jakimżeby była niesłychanym ciosem moralnym dla wyzwalającego się ducha narodu, dla jego nadziei i dążeń!

Działania bojowe oddział ów Piłsudskiego w tym czasie dadzą się ująć w trzy okresy jakby w trzy obrazy odrębne, całość stanowiące; pierwszy, to wyprawa Kielecka z licznemi potyczkami i utarczkami na przestrzeni między Krakowem a Kielcami w czasie od 6 sierpnia do 23 września 1914; drugi to wyprawa pod Dęblin i Warszawę od 28 września do 23 listopada 1914, w której oprócz bardzo licznych potyczek stoczono już wielkie bitwy pod Laskami, Brzegami, Krzywopłotami; a trzeci obejmuje wszystkie boje na południe od Wisły na Podhalu aż po Nowy Sącz i Tarnów z krwawemi walkami pod Marcinkowicami w okolicy Limanowej i sławną 4 dniową bitwą pod Łowczókiem w czasie od 23 listopoda aż do pierwszych dni stycznia czyli aż do postoju i dłuższego odpoczynku w Kętach.

Miasto Kraków stanowi punkt węzłowy w tych działaniach, jako punkt wyjścia i wielokrotnego przejścia, jako podstawa operacji i źródło rezerw i wreszcie jako siedziba cywilnej władzy najwyższej: Naczelnego Komitetu Narodowego.

Jakkolwiek pod względem taktycznym nie stanowią oddziały Piłsudskiego samoistnej jednostki bojowej, lecz są poddane ogólnym rozkazom naczelnej komendy armji austrjackiej (A. O. K.) a później częściowo niemieckiej, chociaż nawet w tym okresie rzadkokiedy są wszystkie bataljony Piłsudskiego skupione razem i razem w walce użyte; przeciwnie często poszczególne bataljony bywały detaszowane i odkomenderowane, to jednak utrzymywało się wśród nich zawsze silne poczucie jedności i przynależności wspólnej a Komenda i Sztab umiały zawsze swoją samodzielność i odrębność zaznaczać i zachować i zarówno Austrjaków jak i Niemców do uszanowania jej zniewolić. Od samego początku była to armja polska z polską komendą i sztandarami i polską ideą niepodległościową złączona.

Wprawdzie pierwsza kompanja „Kadrowa" już 6 sierpnia 1914 o świcie opuściła Oleandry w Krakowie i nad ranem przekroczyła granicę Królestwa w Michałowicach a następnie szybkim marszem wyruszyła przez Słomniki i Miechów na północ, lecz

inne uzupełniające oddziały i dowództwo wyruszyły z Krakowa dopiero w następnych dniach i postępując tą samą drogą na Miechów i Jędrzejów znalazły się w Kielcach dopiero 12-go sierpnia w chwili, gdy od strony północnej dochodziły odgłosy strzałów kawalerji Beliny z kilkunastu jeźdźców złożonej przeciwko nadchodzącym patrolom kozackim. C. d. n.

Od Redakcji i Administracji

Następny zeszyt (podwójny) wyjdzie z początkiem lipca b. r. i poświęcony będzie 14 rocznicy Dnia 6 sierpnia 1914 R. Organizacje urządzające uroczystości miejscowe, zechcą jaknajspieszniej nadesłać zapotrzebowanie na potrzebną im ilość egzemplarzy Panteonu.

Dzieje 85. pułku strzelców wileńskich. Kpt. Bolesław Waligóra. Warszawa 1928 r. Cena 10 zł. Omawiana praca jest historją 85. pułku piechoty, wydaną z inicjatywy i pod kierownictwem Wojskowego Biura Historycznego. Praca ta dzieli sie na historję powstania pułku i jego organizowanie się, zaś druga część obejmuje wszystkie działania bojowe w których pułk brał udział w latach 1919 i 1920, a więc walki o Słonim, pod Baranowiczami, pod Wielką Aleksiejówką, pod Leplem, pod Pysznem, nad Berezyną, Niemnem, Narwią, Nurcem, pod Radzyminem, w Krwawym Borze i inne. Niesłychanie ciekawie i szczegółowo bodaj poraz pierwszy opisane jest zajęcie Wilna przez dywizję gen. Żeligowskiego. Praca ta zawiera również dzieje wojenne pułku oraz mnóstwo ciekawych danych o jego składzie, korpusie oficerskim, odznaczeniach, stratach i t. p. Podobizny wszystkich oficerów pułku zarówno dawnych jak i obecnych zamykają książkę. Praca odznacza się ładną szatą zewnętrzną. Zdobi ją 164 ilustracyj oraz 55 szkiców i wykresów, zawiera 468 stron druku dużego formatu. Książka wydana wytwornie.

Wspomnienia W. Golczewskiego, drukowane w „Panteonie" wiążą się z historycznymi opisami „Dziejów 85. p. p.".

Bibljografję Legjonów przygotowujemy do druku. Wydamy jako osobną odbitkę; przyjmujemy zamówienia.

Dla ewentualnego uzupełnienia naszych zbiorów prosimy czytelników o nadesłanie nam spisu posiadanych książek, ulotek i odezw, dotyczących Legjonów (1914—1918). — Bibljogr. daty uzupełniamy sami.

Brak nam do kompletu wydawanych w 1918 r. w Ameryce „Głosu Żołnierza" (redag. przez Centrum rekrut. Nr. 8) — Nr. 1 i ewent. od Nr. 6.

Również z „Buletyna" względnie „Biuletyna", wydawanego w Nowym Jorku brak nam z 1918 r. Nr. 9., 18., 27., 32., 42., 49. i z rocznika 1919 r. Nr. 2., 3. i ewent. od Nr. 5.

Prosimy naszych czytelników o ewent. pomoc przy skompletowaniu. Chętnie zapłacimy żądaną należytość.

Poprzez Fronty. Pamiętnik wywiadowczyni 1 pułku piechoty Legjonów. Zofja Zawiszanka. Warszawa 1928. Główna Księgarnia Wojskowa Cena 5.80 zł.

W dziejach wysiłku legjonowego chlubną i szczytną rolę odegrała garstka kobiet polskich pełniących służbę wywiadowczą. Wywiadowczynie te, przedzierając się przez linję frontu zbierały wszelkie wiadomości o rozmieszczeniu sił nieprzyjacielskich, o projektowanych działaniach i t. p. informacje tak niezbędne przy prowadzeniu operacyj. Jak odbywała się ta praca i z jakiemi niebezpieczeństwami była połączona opowiada nam w swym pamiętniku p. t. „Poprzez Fronty" jego autorka — Zofja Zawiszanka, która była wywiadowczynią 1 pułku piechoty Legjonów w 1914 r. (w owym czasie nie było jeszcze I. Brygady Legjonów). Cechą, bijącą z każdej prawie stronicy, to niezwykły entuzjazm dla sprawy i gorące umiłowanie Ojczyzny, wynikiem czego jest zupełne poświęcenie się służbie dla Niej, bez względu na najgroźniejsze nieraz niebezpieczeństwa. Fragmenty przeprowadzonych wywiadów są niezwykle ciekawe i emocjonujące, skutkiem czego pamiętnik czyta się jak najlepszą powieść. Poza tem znajdzie w nim czytelnik szereg epizodów z życia i walk 1 pułku piechoty Legjonów, mnóstwo sylwetek, postaci legjonowych oraz osób będących wówczas na widowni życia publicznego. Zdobi go szereg pięknych ilustracyj oraz barwna okładka ANK. — Czytelnikom naszym gorąco polecamy cenną książkę Zofji Zawiszanki, znanej nam dobrze z wielu artykułów umieszczonych w „Panteonie".

Szczerbowski Adam. Kwiat na Mogile. 8° str. 39. nakładem Związku Legjonistów w Hrubieszowie.

Mały zbiór wierszy, ledwie ośm krótszych i dłuższych pieśni, lecz pełnych akordów z najgłębszych strun serca i duszy prawdziwego leguna. Czy „Duma o pierwszej Brygadzie", napisana jeszcze w 1917 r., czy „W wołyńskim lesie", gdzie „niezłomny trud ze śmierci życie wywodzi ród", czy też „Duma o majorze Wyrwie", który w tym lesie wołyńskim życie oddał, czy „Kwiaty na Mogile" czy tyle innych — to w tęsknocie i głębokiem odczuciu oddane słowa chwały i wspomnienia tym, którzy poszli o Polskę walczyć, pod znakiem białego Orła i pod polską komendą. Niechaj te piosnki znajdą się w ręku wszystkich, dla których wielka legenda Legjonów ma być erą odrodzenia Narodu i Państwa.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z. ZYGMUNTOWICZ. — ADR. RED. I ADMIN. LWÓW, SKRYTKA 98 — TEL. 22-90
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF. „ARS", SYKSTUSKA 32. — DRUK. W. A SZYJKOWSKI ZIMOROWICZA 14